

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 5

Katowice, dnia 29-go stycznia

1928

Niedziela czwarta po Trzech Królach.

LEKCJA

z listu św. Pawła do Rzymian, r. 13.

Bracia: Nie bądźcie nikomu nic winni, tylko abyście się społecznie miłowali; bo kto miłuje bliźniego, zakon wypełnił. Albowiem: Nie będziesz cudzołożył. Nie będziesz zabijał. Nie będziesz kradł. Nie będziesz mówił świadectwa fałszywego. Nie będziesz pożądał: i jeśli jest które insze przykazanie, w tem słowie się zamyka: Będziesz miłował bliźniego twego jako siebie samego. Miłość bliźniego złego nie czyni. Wypełnienie tedy zakonu jest miłość.

EWANGELJA

u św. Mateusza r. VIII, w. 23—27.

W on czas: Gdy Jezus wstąpił do łodzi, weszli za Nim uczniowie Jego. A oto burza wielka zerwała się na morzu, tak, iż fale zaczęły łódź zalewać; On tymczasem spał. I zbliżyli się doń uczniowie Jego i obudzili Go, mówiąc: Panie, ratuj nas, giniemy! Jezus zaś rzekł im: Dlaczego się boicie, wy małej wiary? I zaraz powstał, nakazał wichrom i morzu, i stała się wielka cisza. Ludzie zaś zdumiewali się i mówili: Kimże On jest, że wichry i morze są Mu posłuszne?

Na uroczystość Oczyszczenia Najśw. M. P.

LEKCJA

z prorocтва Malachjasza, r. III.

To mówi Pan Bóg: Oto ja posyłam Anioła mego, a nagotuje drogę przed obliczem mojem. A wnet przyjdzie do kościoła swego Panujący, którego wy szukacie, i Anioł przymierza, którego wy chcecie. Oto! idzie, mówi Pan Zastępów, a kto będzie mógł myślą ogarnąć dzień przyjścia Jego? i kto się ostoi na widzenie jego? Bo On, jako ogień wypalający, i jako ziele farbiarskie; a usiądzie wypalając i wyczyszczając srebro, i wyczyści Syny Lewi, i przecedzi jako złoto i jako srebro, i będą ofiarować Panu ofiary sprawiedliwości. I spodoba się Panu ofiara Judy i Jeruzalem, jako dni wieku, i jako dawne lata; mówi Pan Wszechmogący.

EWANGELJA

u św. Łukasza w rozdziale II, wiersz 22—32.

W on czas: Po upływie dni oczyszczenia Marii, według prawa Mojżeszowego, zanieśli Jezusa do Jeruzolimy, aby Go stawić przed Panem, jako przepisano w zakonie Pańskim, iż: „Każdy pierworodny płód męski ma być Panu poświęcony“, aby złożyć ofiarę z pary synogarlic, albo z dwojga gołąbków“, jak to nakazywał zakon Pański. — A oto żył w Jeruzolimie człowiek, imieniem Symeon, mąż sprawiedliwy i pobożny, który oczekiwał pocieszenia Izraela, a Duch Święty był z nim. I od Ducha Świętego otrzymał objawienie, że nie umrze, póki

nie ujrzy Chrystusa Pańskiego. A wiedziony Duchem, przybył do świątyni. A gdy wnosili Dziecię Jezus Rodzice Jego, aby spełnić za Nie przepis prawa, wtedy on wziął Je w objęcia swe i wielbił Boga, i rzekł: Teraz wypuszczasz sługę Swego, Panie, jako mówiło słowo Twe, w pokoju; albowiem wzrok mój ujrział Twe Zbawienie, któreś zgotował wobec wszystkich ludów: Światło wśród pogan na ich oświecenie, i chwałę ludu Twego, Izraela.

NAUKA.

Któż nie wie, na ile niebezpieczeństw i przygód bywają narażeni ludzie, odbywający dalekie morskie podróże. Okręt, który ich niesie, lada chwila może ulec w walce z wzburzonemi żywiołami, lub rozbić się o podwodne skały. Szczęśliwy, kto wtedy zdoła uchwycić najmniejszy szczątek rozbitego okrętu i z jego pomocą dopłynąć do bezpiecznej przystani; jakże będzie szukał, jak silnie uchwyci tę deskę zbawienia. Życie ludzkie bywa bardzo słusznie przyrównywane do podróży po wzburzonem morzu. Dopóki tu pielgrzymujemy, każdy z nas ulec może w walce z nieprzyjaciółmi zbawienia, popełnić grzech ciężki, który nas pograża w otchłań piekielną. Ale Bóg w dobroci nieprzebranej, i dla nas zgotował deskę ratunku, mogącą nas doprowadzić do przystani wiecznej szczęśliwości, a tą deską jest Sakrament pokuty św. O nim to obecnie mówić zamierzamy.

Owoce Sakramentu pokuty św. W sakramencie pokuty dostępujemy odpuszczenia grzechów, do chrzcie św. popełnionych, bez względu na ich wielkość i liczbę, byleśmy tylko szczerze za nie żalowali.

Władzę odpuszczenia grzechów dał sam Pan Jezus Apostołom i ich następcom, gdy po zmartwychwstaniu tchnął na Apostołów i rzekł: „weźmijcie Ducha świętego, których odpuscicie grzechy, są im odpuszczone, a których zatrzymacie, są zatrzymane.“

Razem z grzechami odpuszcza nam Pan Jezus w Sakramencie pokuty św. karę wieczną, na którą przez grzech zasłużyliśmy. O jakże Bóg jest dobry! zamiast odrzucać nas niewdzięcznych, którzy niepomni na dobrodziejstwo chrztu św. śmiertelnie Go obraziliśmy i złamali przysięgę, na chrzcie św. uczynioną; On pierwszy wyciąga do nas rękę i podaje łatwy sposób stania się na nowo dziećmi Jego. A ten cud miłosierdzia dzieje się nie raz, lub dwa razy, ale ilekroć popadłszy w coraz nowe grzechy, z ufnością uciekamy się do Boga.

Sakrament pokuty św. przywraca nam utraconą łaskę uświęcającą, albo ją pomnaża, jeśliśmy jej nie utracili: sprawia, że dobre nasze uczynki stają się zasługującymi na żywot wieczny. Gdy Pan Jezus rzekł do Łazarza, zmarłego od dni czterech: „Łazarzu, wynijdz z grobu“. Łazarz powstał pełen życia, wielbiac Boga. Tak samo, gdy kapłan nad

grzesznikiem prawdziwie żałującym wymawia te słowa: „Ja ciebie rozgrzeszam”, życie łaski zostaje mu przywrócone, a dusza jego zmartwychpowstaje na żywot wieczny. Dla tego to Pan Jezus dzień zmartwychwstania swojego wybrał na ustanowienie tego przedziwnego Sakramentu, przez który najwymowniej okazuje miłość swą dla pokutujących grzeszników.

Grzech śmiertelny pozbawia nas zasług, jakie zaskarbiliśmy sobie przez pełnienie dobrych uczynków, a Sakrament pokuty św. zasługi te przywraca, zarówno jak promienie wiosennego słońca przywracają obumarłym podczas zimy roślinom pierwotną ich woń i barwę. Pismo św. naucza: „Jeśliśmy się spowiadali grzechów naszych, wierny jest Bóg i sprawiedliwy, aby nam odpuścił grzechy nasze i oczyścił nas od wszelkiej nieprawości.”

Sakrament pokuty św. uwesela nas i umacnia: Kto tego nie doznał? kto nie przyzna, że z lekkim i wesołym sercem powraca się po dobrze odprawionej spowiedzi św.?

„O mój ojciec — mówił pewien młody przestępca do księdza, który go przygotowywał na śmierć na rusztowaniu — o jakże Bóg jest dobry, jakże żałuję, iż poznałem Go tak późno. Otrzymałszy rozgrzeszenie, tak się czuję szczęśliwym, jakby mi kto zdjął z serca ciężar nieznośny. Teraz już nie lękam się śmierci, umrę spokojny, wiedząc, iż pójdę do nieba.”

Pewien czcigodny kapłan opowiadał, jako niedawno temu, po ukończeniu rekolekcji dawanych w jednym z miasteczek Małopolski, zaczepiony został przez nieznanego mężczyznę, który z oznakami wielkiej radości począł go ścisnąć i dziękować mu. Zdziwiony kapłan, zapytał o przyczynę takiej wdzięczności, na co odrzekł mu pan ów: „Nie masz pojęcia, Ojciec, jak wielką wyświadczyłeś mi łaskę; wzruszony i przekonany twemi naukami, po raz pierwszy od lat wielu przystąpiłem do spowiedzi św., a teraz czuję się tak spokojny i szczęśliwym, jakbym się na nowo narodził — to też zachowam Ojcu wdzięczność aż do końca życia.”

Ale nie sam tylko grzesznik cieszy się z nawrócenia swego, wesela się z nim razem i Aniołowie. „Powiadam wam — nauczał Pan Jezus — żeć większa będzie radość w niebie nad jednym grzesznikiem pokutę czyniącym, niż nad dziewięćdziesiąt i dziećmiu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują pokuty.”

Sakrament pokuty nie tylko nas uwesela ale i umacnia, udzielając osobne łaski do pobożnego życia. Po dobrze odbytej spowiedzi św. stajemy się zawsze lepszymi, ochotniej i mężniej zwalczamy pokusy i namiętności. Częste, a godne przystępowanie do spowiedzi św. doprowadza do wielkiej doskonałości, czego wymowny przykład dają nam Święci Pańscy.

Zbliżajmy się tedy z jak najlepszym przygotowaniem do Sakramentu Pokuty, korzystajmy często z tak potężnego środka zbawienia, naśladowajmy szczery żal i pokutę św. Piotra, św. Magdaleny i innych pokutników, postanawiając nadal unikać pilnie sposobności do grzechu, stosować się do nauk i przepisów spowiednika i używać środków skutecznych do poprawy życia, prosząc Boga gorąco o łaskę do tego potrzebną. Amen.

Marcin Polowy Wadowita.

— Może wyjść na pierwszego po królu! — wykrzyknął Marcin, który siedząc w kącie stołu słuchał bacznie wszystkiego co mówił ksiądz proboszcz, i aż mu wszystka krew buchała do głowy, tak mu się to podobało setnie.

Na ten wykrzyk ksiądz proboszcz uśmiechnął się łagodnie i rzekł:

— A cóż to dziwnego w naszej Polsce, która sobie nigdy prostego chłopą kołodzieja Piasta obrała nie na pierwszego po królu, ale na samego króla.

Tu ksiądz proboszcz zaczął wiele pięknych rzeczy opisywać z historii polskiej, wszyscy słuchali go ciekawie i każdy z chłopków czuł się niezmiernie dumnym i szczęśliwym, że mu Bóg w swej łasce nieprzebranej pozwolił urodzić się Polakiem, a nie żadnym innym cudzoziemcem.

Ale najmocniej i najgłębiej jakoś ugrzęzły słowa proboszcza w głowie i sercu Marcinka. Siedział cały jak w ogniu, a oczy mu się świeciły jak dwa węgle rozpalone, i różne, przeróżne jakieś myśli kręciły mu się po głowie. A kiedy się nareszcie skończyła gościna i wszyscy się porozchodzili, Marcin wymknął się cichaczem na ogród, i usiadłszy w cieniu pod starą gruszą, długo coś dumał i dumał. Niebawem nadeszła noc, Marcin ani oka nie zmrugał, przewracał się na wszystkie boki, a starej Szymonowie zdało się nawet, że coś gada sam do siebie.

Jak tylko zaświtało, Marcin był już na nogach, i kręcił się czegoś po wszystkich kątach.

— A gdzie ty się tak rano wybierasz? — zapytał stary Szymon, zaledwie otworzywszy oczy.

— Pójdę w pole, czy nie ma jakiej szkody — odpowiedział Marcin, ale zająknął się na razie.

— Ha, dobrze — mruknął stary Szymon.

A Marcin przystąpił do niego, i żegnając się niby, zaczął Szymona i Szymonową tak serdecznie całować po rękach, że aż mu się łzy zakręciły w oczach, jakby Bóg wie w jak daleką wybierał się drogę.

— Co tobie chłopcze? zapytała zdziwiona tem Szymonowa.

Ale Marcin nic nie odpowiedział, tylko jeszcze raz oboje pocałował w ręce, i prędko wymknął się z chaty.

I mija godzina, mijają dwie i trzy i cztery, nadchodzi południe, ba i zmrok zapada nareszcie, a Marcin jak nie widać tak nie widać. Przestraszył się okrutnie Szymon, zaczęła lamentować Szymonowa, i na wszystkie strony jęli rozbijać się za chłopczyną, ale daremnie; znikł jakby kamień w wodę wrzucił.

Dopiero nazajutrz rano wyszła do chaty Szymonowej sąsiadka Tomaszowa, i rzekła:

— Nie troszczcie się o Marcina, i nie szukajcie go nadaremnie, bo ja go spotkała jak wychodził ze wsi; kazał wam się pokłonić i podziękować za wszystko dobre, i prosić byście mu nie byli krzywi, bo on za wolą Bożą wybrał się w świat daleki.

Jakby piorun w nich uderzył, tak się na razie zafrasowali starzy Szymonowie, ale iż oboje byli mocni w wierze chrześcijańskiej, więc się z pokorą poddali woli Boskiej.

— Już śnać sam Pan Bóg nie chce abyśmy mieli dzieci — mruknął stary Szymon i łzę otarł z oczu, a Szymonowa odmówiła tylko pacierz do Matki Boskiej i nie nie rzekła.

I dzień za dniem minęły cztery lata. Szymonowie utulił się już powoli w żalu do stracie Marcinka, a sa-

memu Szymonowi wypadł jakiś interes do Krakowa. W świątecznej kapocie, w czapce na zawiasach, przechadzał się poczciwy starowina po ulicach starego miasta, które tyle wielkich czynów widziało w swoich murach, i od wieków służyło za siedzibę naszym królom walnym i sprawiedliwym. Aż też nagle przystanął na miejscu jak wryty i krzyknął głośno.

Tuż koło niego przeszedł ulicą jakiś biedny student z książkami pod pachą i z garnczkiem w ręku. Stary Szymon patrzy i własnym oczom nie wierzy. Toż to Marcinek, żywy Marcinek.

A i on się wtem obrócił i poznał starego Szymona, i na razie z otwartymi ramionami chciał poskoczyć ku niemu, ale w tem nagle się zawahał, bo mu przyszło do głowy, że może stary Szymon zechce go na gwałt odebrać ze szkół i odwieźć do domu. Więc też jak da nagle susa, jak skreśli w ulicę, ta i zgubił się w jednym mgnieniu oka.

Długo stał Szymon na miejscu i patrzył za uciekającym, ale mu się już daleko lżej zrobiło na sercu, boć przekonał się, że Marcinek nie z rozpusty puścił się w świat, jeno uczciwie i godziwie myśli wyjść jak to mówią na ludzi.

Wrócił do domu i opowiedział wszystko swojej starej, a i ona uradowała się setnie, i gorąco pomodliła się do Boga, aby pobłogosławił chęciom i pracy Marcinka.

I owóż znowu, już nie dzień po dniu, ale roczek po roku, minęło lat kilkanaście. Stary Szymon to już dziaduś na prawdę, a Szymonowa już babuła zgrzybiała, kiedyś wtem przed ich zagrodę zajeżdża kolasa wspaniała, a z niej wyskakuje w czarnej rewerendzie jakiś ksiądz, młody jeszcze latami, ale dojrzały statkiem i powagą.

Ledwie co obaczył go stary Szymon, a poskoczył jak szalony, i w niebogłosy wykrzyknie:

— Marcinek!

W samej rzeczy był ci to on a nie kto inny. Choć jeszcze tak młody wiekiem, został już dla swego statku i rozumu proboszczem u św. Florjana w Krakowie, i przyjechał teraz odwiedzić swych starych opiekunów. I radość też była radość w Szymonowej chacie; cóż się też nie naplakali oboje starzy, i ksiądz Marcin beczał z nimi niby dziecko, i całował ich po rękach jako swych dawnych dobrodziejów.

I nie odmówiłby jeszcze jedno Zdrowaś Marja, a już zleciała się wieś cała; wszyscy znajomi i sąsiedzi garnęli się oglądając Marcinka, co w tak krótkim czasie bez niczyjej pomocy wyszedł na księdza i proboszcza w Krakowie. On sam im opowiadał długo i szeroko jak pokończył szkoły i otrzymał poświęcenie na księdza, a za łaską biskupa i króla został niebawem proboszczem św. Florjana w Krakowie. Chciał też Szymona i Szymonową wziąć do siebie na mieszkanie, ale się oparli starzy, bo już chcieli umierać we wsi gdzie się narodzili. Wyprosił sobie tylko od księdza proboszcza, żeby ich przynajmniej raz do roku odwiedził w ich chacie, i pamiętał o nich zawsze tkliwym sercem.

Przyrzekł im to ksiądz Marcin i dotrzymał wierne słowa; a kiedy za lat kilka podobało się Bogu oboje starszków powołać do siebie, to ksiądz Marcin sam spowiadał ich na śmierci, i namaścił olejem świętym i potem sam złożył w grobie.

Słyszac z wielkiego rozumu i głębokich nauk, nie pozostał ci on całe życie proboszczem u św. Florjana. Sława o jego mądrości i życiu cnotliwym rozbiegła się tak daleko, iż król i biskup i naród cały zwrócili

na niego swoje oczy. Ksiądz Marcin nazywany, od tego że się urodził chłopem, Kapiusem, co znaczy po łacinie Polowym, rósł coraz więcej w znaczenie, i coraz większe spadały na niego honory i urzęda. Za lat kilka został kanonikiem, a nareszcie kanclerzem akademii krakowskiej, to jest pierwszym przełożonym najwyższej szkoły w Krakowie, a tem samem w całej Polsce. Była to godność wspaniała; ksiądz Marcin znał tyle co biskup bez mała!

Mówią ludzie, że kiedy hojnie spływały na niego honory, to było wielu takich, co mu zazdrościło jego szczęścia, a nie mogąc mu sprostać ani w nauce ani w życiu bogobojnem, wyrzucali mu po za oczy jego chłopskie pochodzenie. Nie zważał na to ksiądz Marcin, i tylko kiedy wyszedłszy na kanclerza ubrał się w wspaniałą płaszcz aksamitu jak przystało jego godności, a wszyscy zazdrośnie musieli mu oddawać głębokie pokłony, to poję płaszcz podniósł do góry i rzekł do składu:

„Dziękuję ci aksamicie,

Kłaniają się Wadowicie“.

I tem jednym tylko powiedzeniem żartobliwym, zemścił się na swych nieprzyjaciółach. Że zaś tak bardzo słynał z rozumu i miał taką naukę wielką, więc kiedy tylko biskupi i prałaci zjeżdżali się do Rzymu do Papieża, zawsze z Polski wyprawiano naszego Marcina Polowego do wszelakiej narady. Trzy razy też jeździł Marcin Polowy do Rzymu i biskupi z całego świata, ba nawet sam Ojciec św., nie mogli się nadziwić jego nauce i jego rozumowi, i słuchali bacznie na każde jego słowo. A czcigodny ksiądz Marcin, choć tak wielką był osobą, nie zapierał się nigdy, że z chłopskiego pochodził stanu, i tam opowiadał, że za młodu pasał bydło i pracował w polu jak każdy inny chłop.

Oczywiście, że wyszedłszy do tak wielkiego honoru miał Marcin Polowy i bogactwa nie małe, ale używał on ich tylko na dobro ludzkie i chwałę Bożą. Szczodłą ręką sypał jałmużny potrzebny, a nie zapominał też szczególnie o swych Wadowicach. Własnym kosztem założył szkołę i szpital w mieście, i cały swój majątek zapisał na utrzymanie tych dobroczynnych zakładów.

Przeżywszy lat osmdziesiąt rozstał się z światem dnia 28 stycznia roku 1641. Wielki żal za nim powstał nie tylko w samym Krakowie ale w Polsce całej. Ciało jego złożone w kościele św. Florjana w Krakowie, a na wspaniałym nagrobku z marmuru wypisano wszystkie jego godności i zasługi. Był to mąż wielki i cnotliwy, i pamięć po nim nie zginie po wieczne czasy.

Tak to w naszej Polsce dawnej, byle chęć szczerą i wytrwałość prawdziwą, a z chłopskiej chaty można było łatwo przyjść do pańskiego pałacu, i zamiast siermięgi i płótnianego kaftana przywdziać szaty z złota i aksamitu!

Wypadek w karnawa'e.

Było to ku końcowi karnawału. Na ulicach Warszawy brzęczące dzwonekami sanki migały w rozmaitych kierunkach, wioząc postrojone pary na miejsca uciech i rozrywek. Noc była pogodna, a łagodne światło księżycza zastępowało dostatecznie blask gazowych latarni; okna większej części domów pomimo spóźnionej godziny, jaśniały światłem, ochoczy dźwięk muzyki mieszał się z gwarem ulicznym, przybierając różne odcienia, począwszy od dobranej kapeli ożywi-

cej salony możnych, aż do szynkowej katarynki. Wśród wesołego tłumu różnorodnych postaci, przebiegających chodniki Nowego Świata, dążył z pośpiechem dziesięcioletni może chłopczyzna, błądy i nędznie ubrany, który trzymając w rękę sporą flaszeczkę z lekarstwem, biegł, nie oglądając się na nikogo, z widoczną niecierpliwością, znać chcąc uniknąć ciągłego wymijania przechodniów. Zamierzał właśnie przejść na drugą stronę ulicy, gdy poślizgnął się na obmarzniętych flizach, został potrąconym od dwóch jakichś elegantów, tak mocno zajętych rozmową, że nie mieli nawet czasu obejrzeć się, pomimo głośnego krzyku biednego dziecka i brzęku upadającej flaszeczki.

— Mój Boże! — wołał, grzebiąc się w śniegu chłopczyzna, cóż ja teraz pocznę, co powie biedny chory ojciec, co powie babula, jak bez lekarstwa wrócę do domu? Gdybym przynajmniej mógł znaleźć receptę... płacz przerwał mowę biedaka, otrząpiał lichą swą odzież i zaczął szukać, przy szczątkach potłuczonej flaszeczki, zawieszonyj przy niej recepty. Wkrótce papier znaleziony zaszeleścił w rękę chłopca, lecz razem drugi jeszcze dość spory przedmiot ciemnej barwy, leżący obok chodnika zwrócił na siebie uwagę.

Była to spora skórzana torebka z przerwanyim rzemiennym paskiem, pełna jak się zdawało papierów, o czem świadczyła znaczne jej objętość. Chłopiec uchwycił ją skwapliwie, a zapomniawszy chwilowo o swoim smutnym wypadku, zaczął się jej starannie przyglądać ze wszystkich stron, obracając ją w rękach. Z początku zadrżał z radości na myśl, że może w tej torebce znajdzie pieniądze, które mu wynagrodzą poniesioną stratę, nie pomnąc na to, że grzechem byłoby korzystać z cudzego dobra, które przypadek oddał w jego ręce. Ale torebka była zamknięta na klucz, nie mógł więc nawet zaspokoić swej ciekawości i na nowo przypomniawszy sobie niemłą przygodę, boleśnie płacząc, udał się ku domowi.

Stanawszy przy drzwiach, lubo cały drżał od zima, nie śmiał wejść do lichej izdebki na poddaszu, gdzie mieszkał razem z ojcem i sędziwą babką, która od piełuch prawie zastępowała mu miejsce wczesniej zmarłej matki. Przez cienkie drzwi tego schronienia nędzy, dochodziły ciężkie jęki chorego, które boleśnie raniły serce biednego chłopca; niespokojne kroki staruszki, w niecierpliwosci chodzącej po izdebce, nie uszły także jego uwagi. Nie mogąc dłużej wytrzymać, stanął na progu; biedna kobieta z okrzykiem radości rzuciła się naprzeciwko niemu.

— Dawaj prędko lekarstwo Stasiu! — zawołała niecierpliwie; ojcu coraz to gorzej, może mu też się polepszy, jak go żążyje.

Staś upadł na kolana przed babką, wypuszczając z rąk znaną już nam torebkę, którą dotąd miał przy sobie. Przelekniona staruszka z rozpaczą prawie wysłuchiwała opowiadania swego wnuka, co pomimo żalu i pomieszanja nie pominął i najmniejszego szczegółu. Z krwawemi łzami prawie zbliżyła się do łóżka, na którym syn jej, ciężką złożony chorobą, zdawał się walczyć ze śmiercią ostatkiem sił, jakie mu pozostawały.

— Ha! moje dziecko — rzekła, przytulając do piersi biednego Stasia — znać Bóg chce nas na tym świecie ukarać za nasze winy, kiedy dopuszcza na nas tak wielkie nieszczęście... ależ On zawsze jest nie tylko sędzią, lecz i ojcem ludzi, módlmy się więc do Niego, aby nas nie zostawiał sierotami. Tu staruszka złożywszy ręce, cicho modlić się zaczęła; chłopczyzna prawie odchodził od przytomności z płaczu.

Zbytecznem byłoby opisywanie reszty tej nocy, która upłynęła dla biednej staruszki na modlitwie i czuwaniu przy chorym. Staś tylko znużony płaczem i utrudzeniem zasnął twardym snem dziecka na podłodze przy łóżku ojcowskiem.

Nazajutrz po przetarciu oczu zaspanych, pierwszym przedmiotem nasuwającym się jego uwadze, była znaleziona torebka, dotąd leżąca na ziemi; widok jej przypomniiał mu wczorajszy wypadek, i znowu boleśnie płakać zaczął. Pocieszyła go jednak babka, zapewniając, że chory nad ranem znacznie się uspokoił i dotąd smacznie zasypia. Gdy jeszcze to mówiła, dało się słyszeć niecierpliwe pukanie do drzwi, wkrótce zdumieni mieszkańcy poddaszu ujrzeli przed sobą jakiegoś nieznanego człowieka, trzymającego w rękę flaszeczkę apteczną. Na zapytanie staruszki, co go do nich sprowadza, odpowiedział z pośpiechem, że syn jego będąc wczoraj wieczór w aptece, przez nieuwagę zapewne wziął lekarstwo Stasia, pozostawivszy swoją flaszeczkę na stole, w chwili, gdy ten był zajęty liczeniem pieniędzy; że zaś powtórnie wróciwszy się do apteki, nie mógł już naprawić uczynionej pomyłki, wrócił z płaczem do domu. Przepędzivszy noc całą w okropnej niespokojności ojciec nieuważnego chłopca, pobiegł jak najspieszniej do cyrkułu, chcąc się dowiedzieć o mieszkaniu chorego, dla którego nierozważny postępek dziecka mógł stać się tak zgubnym, gdzie po długiem oczekiwaniu udzielono mu potrzebnej wiadomości.

Człowiek ten należał do zamożnej rzemieślniczej klasy, bez uniesienia usłyszał o wczorajszym wypadku Stasia; wzruszony w głębi duszy widokiem nędzy pocziwych ludzi, postawił na stole przyniesione lekarstwo i opuścił poddasze, uwielbiając cudowną moc Opatrzności, która niepojętemi dla nas częstokroć sposobami ocala nas od grożącej zguby.

Po jego odejściu staruszka uspokojona nieco przedłużonym snem chorego, zaleciwszy Stasiowi pilne strzeżenie ojca, wyszła z domu celem zakupienia kilka niezbędnych artykułów do życia za parę groszy, które jej jeszcze pozostawały, biorąc ze sobą torebkę znalezioną przez wnuka z zamiarem odniesienia jej do kantoru Kurjera Warszawskiego, spodziewając się słuszenie jakowejś nagrody za znaleźne. Ale Bóg cudowny w swoich wyrokach gotował jej nagrodę wyższą niżeli się mogła spodziewać, gdyż przyszedłszy do zmierzonego miejsca, zastała tam już uszkodzonego, którym był... własny jej syn starszy, co zrobiwszy znaczny majątek w handlu w jednym z odległych miast niemieckich, przybył na nowo do rodzinnego kraju, chcąc się wywiedzieć o losie matki i brata, od których lat już kilka żadnej nie odbierał wiadomości.

Że pomyślnie to zdarzenie zmieniło zupełnie położenie biednej rodziny, przyczyniając się nawet do powrócenia zdrowia ojcu Stasia, pocziwemu stolarzowi, którego niepomyślnie interesa i choroba przywiodły do nędzy, dodawać tu zapewne nie potrzebuję. Owa staruszka, która z takim poddaniem się znosiła niegdyś swą nędzę, ilekroć spostrzegła czyje czoło zachmurzone jakim smutnym wypadkiem, niosła zawsze pomoc i pociechę, a przytaczając wyżej opisane zdarzenie, nauczała innych własnym przykładem, że nigdy nie godzi się szemrać przeciw wyrokowi Opatrzności, gdyż ona najlepiej zna i nasze potrzeby.